

Pusia

Jestem uczennica klasy szóstej. Mam 12 lat i mieszkam w powiecie lubińskim. Moja rodzina jest wspaniała. Kochamy się i szanujemy. Dzięki temu, że spędzamy ze sobą dużo czasu i rozmawiamy o przeszłości, poznałam dwie niezwykle ciekawe historie, których bohaterami są moi przodkowie. Czasami życie jest bardzo skomplikowane. Uświadomiłam to sobie, kiedy wysłuchałam opowiadania mojej babci. Los nie oszczędzał też mojego dziadka, o którym z kolei opowiedziała mi moja starsza siostra. Niestety dziadek zmarł, kiedy miałam dziewięć lat.

„Historia dawna, lecz prawdziwa”

Historia nr 1

Był rok 1941, moja babcia miała wtedy 9 lat i mieszkała z mamą, tatą, babcią oraz pięciorgiem rodzeństwa w małym domku w Gorcach koło Wałbrzycha. Mój pradziadek (a tato babci) pracował kilka miejscowości dalej na targu. Któregoś dnia idąc do pracy dostrzegł młodego chłopca siedzącego pod murkiem. Zatrzymał się i widząc, że chłopak jest głodny, oddał mu swój jedyny posiadany posiłek. Spotykał go i dokarmiał jeszcze przez około tydzień, zanim chłopak przełamał się, aby opowiedzieć swoją historię. Był Żydem. Jakoś na miesiąc przed tym, jak trafił w te okolice, do jego domu wtargnęli niemieccy żołnierze i na miejscu rozstrzelali jego rodziców za złamanie prawa (niestety nie są mi znane szczegóły). Gdy młody chłopak wrócił do mieszkania i zobaczył co się stało, zrozumiał że musi uciekać. Mój pradziadek słysząc, że jest on dzieckiem żydowskim, a jego rodzice zostali rozstrzelani, z przerażeniem szybko oddalił się od chłopca. Gdy wrócił do domu opowiedział o całej sytuacji mojej prababci, która uznała, że jest to niczemu winne dziecko i została podjęta decyzja o jego przygarnięciu. Już następnego dnia razem z pradziadkiem do domu przyszedł Edek, a dokładniej Edek Wertel. Cała rodzina doskonale wiedziała jak ogromne ryzyko niesie za sobą ukrywanie takich osób, jednak postanowili zaryzykować i Edek został u nich na stałe. Dla całej rodziny była to trudna sytuacja, ponieważ była to kolejna osoba, której trzeba zapewnić miejsce do spania i posiłki. Wiedzieli, że Edek nie będzie mógł iść do pracy i odciążyć pozostałą część rodziny, gdyż musiał się ukrywać. Nawet sąsiadom ciężko było zaufać. Rzadko kiedy chłopak mógł wychodzić z domu, kilkakrotnie bowiem ktoś z okolicy zgłosił, że w tym domu przebywa dziecko, którego wcześniej nie było. Dzięki znajomościom jednak rodzina zazwyczaj wiedziała,

kiedy może spodziewać się kontroli. W takich momentach Edek zawsze wchodził na strych domu, z którego było zejście do ukrytego pomieszczenia o wielkości 1m x 1m x 40cm, do którego wejście było zastawione belami słomy i słoikami z przetworami. Cudem udało się ukrywać Edka do końca wojny. Był to sukces. Cała rodzina ryzykowała życiem, a jednak los niewinnego dziecka nie był jej obojętny. Po wojnie Edek próbował odnaleźć dalszą rodzinę, jednak bezskutecznie. Aktualnie nikt z rodzeństwa babci nie ma z nim kontaktu. Jedyne z braci, który miał z nim kontakt, zmarł 8 lat temu. Z informacji sprzed 8 lat wiadomo, że Edek miał żonę i trójkę dzieci, z którymi mieszkał w okolicach Gdańska. Niestety nie udało się dowiedzieć, gdzie aktualnie mieszka, ale mam nadzieję że będzie spokojne życie, bo los go nie oszczędzał.



Fot. 1. Mężczyzna w fartuchu to tato mojej babci, a mój pradziadek. Jest on w fartuchu, ponieważ zdjęcie zostało wykonane obok jego zakładu pracy, a właśnie w takich fartuchach tam pracowano.



Fot. 2. Mężczyzna po prawej stronie na samym końcu to właśnie Edek Wertel.
Zazaczyłam go małą czerwoną kropką.

Historia nr 2

Dziadek urodził się w 1930 r. Żył z rodzicami i dwójką rodzeństwa w małej miejscowości na Kresach Wschodnich. W nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 r do domu wtargnęło dwóch żołnierzy i dwóch „cywili”, przeczytano im zarzuty i uznano za wrogów. Dostali ok. pół godziny na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Z opowieści dziadka wiem, że owi „cywile” bardzo im przy tym pomagali, pakowali zboża, suszone warzywa i owoce, a także wszelkie mięso, którego i tak było niewiele. Rodzina była bardzo zaskoczona, gdy do worków zaczęli wrzucać grube zimowe ubrania, jednak żołnierze nie chcieli odpowiedzieć na pytanie po co i gdzie mają wyruszyć. Później te wszystkie pakunki wrzucono na wóz, na którym czekały już dwie rodziny z sąsiedztwa. Jedna to było starsze małżeństwo, a druga- samotna matka z dwójką dzieci, z których jedno było tak maleńkie, że jadło jedynie mleko matki. Na tym wozie spotkali się ostatni raz, gdyż po przybyciu na stację, gdzie stał pociąg z wagonami do przewozu zwierząt, zostali rozdzieleni. Dziadek wspominał, że jak wsiedli do tego wagonu to zobaczyli prowizoryczne prycze i otwór na środku podłogi, który miał służyć do oddawania potrzeb fizjologicznych. Podczas jednego postoju sytuacja się jednak mocno skomplikowała. Rodzina dziadka otrzymała pozwolenie, aby na chwilę opuścić wagon i odebrać wiadro z wodą. Przed pociągiem był duży tłum. Dziadek miał 10 lat i był z natury bardzo ciekawski. Zainteresował się małym kotkiem, który krążył wokół ludzi i zapragnął go pogłaskać, co drastycznie zmieniło jego życie (później już zawsze bał się kotów i widząc je wpadał w panikę). Goniąc małego czworonoga zgubił się w tłumie i nie wiedział, jak wrócić do rodziny. Niestety, oddalił się zbyt

daleko. Zrozpaczony i wystraszony pojawił się przy wagonie, do którego ponownie wsiadali ludzie. Uznał, że może będzie tam któryś z sąsiadów i pomoże mu wrócić do rodziny. Jednak tak się nie stało. Zrezygnowany wsiadł do wagonu, za nim weszło jeszcze kilka innych osób i nagle drzwi się zamknęły. Utknął na nie wiadomo jak długi czas z obcymi ludźmi, którzy jednak na całe szczęście mieli dobre serca i zaopiekowali się nim. Na każdej stacji dziadek próbował odnaleźć rodzinę, jednak z każdą stacją kolejne wagony pustoszały. Ostatni peron. Dziadek trafił w nieznane mu okolice, był przerażony i nie wiedział, co go dalej czeka. Panował ogromny chłód. Jak się później okazało, trafił na Syberię. Jednak nie opowiedział dokładnie co działo się w tamtym miejscu. Wspominał tylko, że zaopiekowała się nim polska rodzina, która trafiła tam podczas pierwszej deportacji. Początkowo nie jadał po kilka dni, a każdego dnia pytał ludzi o swoją rodzinę, która najprawdopodobniej opuściła pociąg kilka stacji wcześniej. Dziadek został później przymuszony do pracy przy przerzucaniu zboża z wielkich wagonów do tych mniejszych. Tam poznał kolegę (chyba nazywał się Władek, ale nie mam pewności), z którym zorganizował ucieczkę. W okolicach czerwca 1941r. dziadek późnym wieczorem dalej wrzucał zboże do wagonów pociągu, który jak się okazało, miał jechać na zachód Rosji. Razem z owym wcześniej poznanym kolegą na kilka dni przed akcją obmyślili plan. Doskonale wiedzieli, w jakich godzinach pojawiają się żołnierze kontrolujący pracę. Wokół było już ciemno, a żołnierz kazał im już kończyć pracę i wracać do domów. Posłusznie więc oddalili się od wagonu, ale na tyle blisko, aby mieć widoczność na stację. W momencie gdy byli pewni, że w mają wolną drogę, zakradli się ponownie do wagonów, wskoczyli do nich i wręcz zanurkowali w zbożu. Akcja była bardzo ryzykowna, a jednak się udała. Po dwóch dniach pociąg w końcu ruszył. Jakim cudem ich nie znaleźli? Dziadek sam był zszokowany. Jego przyjaciel postanowił wymknąć się podczas postoju, gdzieś w centrum Rosji, ale dziadek podróżował dalej. Opuścił pociąg po kilku albo kilkunastu dniach i trafił w pobliże zachodniej granicy Rosji, po czym ukrywając się w laskach i starych stodołach obrał sobie kierunek: POWRÓT DO POLSKI. Niestety po drodze spotkał wiele komplikacji - złamał nogę, później chorował przez długi czas, ale zaopiekowała się nim rosyjska wdowa mieszkająca w małej chatce w lesie. Miała ona jakieś powiązania z Polską, gdyż w niewielkim stopniu (ale jednak) potrafiła się dogadywać w naszym języku. Jej nazwisko dziadek kojarzył z „Wiesiołkiem” albo „Wesołkiem”. Ostatecznie dziadek powrócił do Polski dopiero w 1947 r. Przez kilka lat próbował odnaleźć swoją rodzinę, jednak jedyne co udało mu się znaleźć to to, że jego najmłodszy brat trafił do jakiegoś domu dziecka w Rosji i tam zmarł na sepsę. W Polsce dziadek przyjął też nowe nazwisko, gdyż bał się, że ktoś go odnajdzie i ukarze za ucieczkę. Nazwisko wybrał z myślą o tej kobiecie, która tak bardzo mu pomogła i która traktowała go jak syna.

Odtąd nazywał się Wesołowski. Później już jego życie toczyło się w miarę normalnie, jednak nikomu obcemu nigdy nie wspominał o dzieciństwie. Całe życie dziadek obawiał się, że w nocy ktoś przyjedzie i każe mu się spakować. Nigdy nie dołączył do żadnego stowarzyszenia Sybiraków. Strach towarzyszył mu do końca życia. Trauma w nim pozostała, a swoją historię opowiedział tylko kilku osobom w momencie, kiedy jego stan zdrowia zaczął się pogarszać. Pragnął wyrzucić to z siebie i poczuć ulgę. Nigdy wcześniej nie opowiedział tej historii, ani swojej żonie, ani dzieciom. Opowiadał ją fragmentami, nie odpowiadał na pytania, bo uznał, że mówi tylko to, co uważa za stosowne.

Niestety nie mam żadnych zdjęć czy dokumentów, które mogłabym dołączyć do tej historii. Dziadek obawiając się rozpoznania unikał pozowania do zdjęć. Mam nadzieję, że sama opowieść wystarczy.